

## *Wprowadzenie*

### WOJNA A REWOLUCJA

Tak jak przepowiedział niegdyś Lenin<sup>1</sup> (a fakty tylko przyspieszyły spełnienie się jego przepowiedni), oblicze XX stulecia ukształtowały wojny i rewolucje. Dziewiętnastowieczne ideologie – takie jak nacjonalizm i internacjonalizm, kapitalizm i imperializm, socjalizm i komunizm – utraciły już związek z rzeczywistością (choć niektórzy wciąż się na nie powołują). Natomiast wojna i rewolucja to nadal dwa naczelne problemy polityczne naszego świata. Przetrwały dłużej niż wszystkie ich ideologiczne uzasadnienia – i nic dziwnego. Jeśli bowiem z jednej strony grozi nam totalne unicestwienie przez wojnę, z drugiej zaś istnieje nadzieja, że rewolucja wyzwoli całą ludzkość – umożliwiając kolejnym narodom „zajęcie wśród ziemskich potęg odrębnej i równorzędnej pozycji, z upoważnienia Praw Natury i Boga Natury” – to w układzie tym nie ostaje się już żadna racja poza tą najdawniejszą ze wszystkich, tą, która od zarania naszych dziejów określa samo istnienie polityki: a jest nią wolność, przeciwieństwo tyranii.

Brzmi to o tyle zaskakująco, że odkrycia współczesnych „nauk” w rodzaju psychologii i socjologii skutecznie oduczyły

---

<sup>1</sup> Słowa pisane na początku lat sześćdziesiątych; chodzi o zdanie Lenina, że wiek XX będzie wiekiem wojen i rewolucji (przyp. tłum.).

nas posługiwania się pojęciem wolności. I nawet rewolucjoniści (związani przecież z tradycją, którą bez pojęcia wolności trudno w ogóle nazwać, nie mówiąc już o oddaniu jej sensu) chętniej sprowadziliby wolność do rangi przesądu niższej klasy średniej, niż przyznali, że była i jest ona zawsze celem rewolucji. Choć jednak powody zniknięcia słowa „wolność” ze słownika rewolucji są intrygujące, to nie mniejszym chyba zdumieniem napawa fakt, że w ostatnich latach pojęcie wolności pojawia się we wszystkich poważniejszych dyskusjach politycznych dotyczących wojny i uzasadnionego użycia przemocy. Historycznie biorąc, wojny należą do najdawniejszych fenomenów znanej nam przeszłości, podczas gdy rewolucje we właściwym sensie tego słowa nie istniały przed epoką nowożytną; znajdujemy je dopiero wśród doniosłych politycznie faktów w czasach najnowszych. W przeciwieństwie jednak do rewolucji cel wojen w rzadkich tylko wypadkach wiązano z ideą wolności. I choć jest prawdą, że zbrojne powstania przeciwko obcemu najeźdźcy często uchodziły za rzecz świętą, to nigdy, ani w teorii, ani w praktyce, nie uważano, że tylko one zasługują na miano wojen sprawiedliwych.

Usprawiedliwianie wojen – również na poziomie teoretycznym – jest rzeczą bardzo dawną (choć oczywiście nie tak dawną jak zorganizowane działania zbrojne). U jego podstaw leży przekonanie, że stosunki polityczne w swym normalnym trybie są wolne od przemocy, a przekonanie to znajdujemy po raz pierwszy u starożytnych Greków, którzy z dumą podkreślali, że życie w *polis* – greckim mieście-państwie – opiera się wyłącznie na perswazji, nie zaś na przemocy. (O tym, że nie były to puste słowa ani rodzaj samozakłamania, świadczy między innymi ateński zwyczaj namawiania ludzi skazanych na śmierć, aby popełnili samobójstwo przez wypicie cykuty: tym sposobem w każdej okoliczności oszczędzano obywatelowi Aten poniżenia wynikającego ze stosowania przemocy fizycznej).

Ponieważ jednak dla Greków życie polityczne z samej definicji nie wykraczało poza mury *polis*, przeto ich zdaniem stosowanie przemocy nie wymagało usprawiedliwienia w dziedzinie – jak dziś mówimy – spraw zagranicznych czy międzynarodowych, choćby te sprawy dotyczyły wyłącznie stosunków między miastami samej Grecji (Hellada zjednoczyła się politycznie tylko jeden raz, w okresie wojen perskich). Poza *polis*, czyli poza dziedziną „polityki” w greckim sensie tego słowa, „silni robili to, co mogli, słabi zaś znosili to, co muszą znieść” (Tukidydes).

Toteż dopiero w starożytnym Rzymie możemy znaleźć najwcześniejsze przykłady uzasadniania wojny wraz z pojawiającym się po raz pierwszy twierdzeniem, że istnieją wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Te rzymskie rozróżnienia i uzasadnienia nie uwzględniały jednak pojęcia wolności ani nie przeprowadzały granicy między wojną agresywną a obronną. „Sprawiedliwa bowiem jest wojna, która jest konieczna – powiedział Liwiusz – i błogosławiony oręż, jeśli tylko w nim spoczywa cała nadzieja” (*Iustum enim est bellum quibus necessarium, et pia arma ubi nulla nisi in armis spes est*). Od czasów Liwiusza konieczność oznaczała w dziejach takie rzeczy, które dziś łączylibyśmy raczej z wojną niesprawiedliwą niż sprawiedliwą. Podbój, ekspansja, ochrona interesów, umacnianie władzy zagrożonej przez pojawienie się nowych sił – wszystkie te znane realia władzy nie tylko stanowiły przyczynę wybuchu większości wojen w dziejach, lecz uchodziły również za „konieczności”, czyli za słuszne powody do podejmowania rozstrzygnięć zbrojnych. Natomiast idea głosząca, że agresja jest zbrodnią i że wojny mogą być usprawiedliwione tylko wówczas, gdy odpierają lub udaremniają napaść, zdobyła praktyczne i teoretyczne znaczenie dopiero po pierwszej wojnie światowej, która ukazała koszmarnie możliwości destrukcyjne wojny wspieranej przez nowoczesną technikę.

Tak więc w tradycyjnych usprawiedliwieniach wojny (rozumianej jako ostateczny środek polityki międzynarodowej) argument wolności jest wyraźnie nieobecny. I pewnie dlatego odczuwamy dziś to dziwne rozdrażnienie, ilekroć w debacie nad wojną słyszymy słowo „wolność”. Albowiem w obliczu niesłychanych zniszczeń, jakimi grozi wojna jądrowa, ochoce argumenty w rodzaju: „dajcie mi wolność albo niech zginę”, brzmią już nawet nie pusto, lecz wręcz niedorzecznie. Narażać w imię wolności ojczyzny i przysłych pokoleń własne życie, a narażać w tym samym celu istnienie całego rodzaju ludzkiego to dwie bardzo różne rzeczy. Wydaje się to tak oczywiste, że trudno nie posądzać o złą wiarę głoszących, że „lepiej być martwym niż czerwonym” lub że „lepsza śmierć niż niewola”. Nie znaczy to oczywiście, że za hasłem przeciwnym: „lepiej być czerwonym niż martwym”, przemawia coś więcej. Kiedy jakaś dawna prawda traci zastosowanie, nie stanie się prawdziwsza przez to, że postawi się ją na głowie. Istotnie, tam, gdzie współczesny spór o wojnę toczy się przy użyciu tego rodzaju pojęć, po obu stronach łatwo można odkryć pewien typ nieszczerości. Ci, którzy mówią, że „lepiej być martwym niż czerwonym”, w rzeczywistości myślą: straty nie mogą być tak wielkie, jak się wydaje, toteż cywilizacja nasza jako taka przetrwa. Natomiast głoszący, że „lepiej być czerwonym niż martwym”, rozumują następująco: niewola nie będzie aż tak straszna, człowiek nie zmieni swej natury, wolność nie zniknie ze świata na zawsze. Innymi słowy, zła wiara uczestników dyskusji polega na tym, że jedni i drudzy omijają niedorzeczną alternatywę, którą sami zaproponowali; trudno ich zatem traktować poważnie<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> Spośród znanych mi rozważań o wojnie jedynym omówieniem, które nie waha się stawić czoło ani koszmarom wojny jądrowej, ani groźbie totalitaryzmu, i dlatego nie wykazuje żadnych znamion nieszczerości, jest Karla Jaspersa *The Future of Mankind*, Chicago 1961.

Trzeba przy tym pamiętać, że pojęcie wolności zaczęło występować w dyskusjach o wojnie dopiero wówczas, gdy nie dało się już ukryć, że osiągnęliśmy taki stopień rozwoju techniki, na którym środki zniszczenia wykluczają ich racjonalne użycie. Innymi słowy, wolność pojawiła się w tych dyskusjach niczym *deus ex machina*, aby usprawiedliwić to, co nie pozwalało się uzasadnić na gruncie racjonalnym. Czy będzie jednak przesadą, jeśli w tym współczesnym, dość beznadziejnym pomieszaniu problemów i argumentów ujrzymy pewną pocieszającą wskazówkę: że oto niedaleka jest chwila głębokich przeobrażeń w stosunkach międzynarodowych, bo wojna może zniknąć ze sceny politycznej, i to bez specjalnych zmian w stosunkach między narodami, jak również bez wewnętrznej przemiany ludzkich serc i umysłów? Czy zatem nasze obecne zagmatwanie w tej materii nie wskazuje po prostu na to, że nie potrafimy rozstać się z wojną? Że nie umiemy myśleć o polityce zagranicznej bez tej nieszczęsnej „kontynuacji przy użyciu innych środków”, do której można sięgnąć w ostateczności?

Zgoła niezależnie od strachu przed totalną zagładą (bo niewykluczone, że można się go pozbyć dzięki nowym odkryciom techniki, takim jak „czysta” bomba czy antyrakiety) istnieje kilka oznak wskazujących na możliwość zniknięcia wojen z areny polityki, choć nie jesteśmy na to przygotowani. Należy tu, *po pierwsze*, fakt, że załączki wojny totalnej powstały już podczas pierwszej wojny światowej, kiedy zaprzestano przestrzegania różnicy między armią a ludnością cywilną, ponieważ utrudniałoby to użycie nowych rodzajów broni. Co prawda, sama ta różnica była nabytkiem stosunkowo nowym i jej praktyczne zniesienie nie oznaczało nic więcej jak powrót do czasów, gdy Rzymianie starli Kartaginę z powierzchni ziemi. Wszelako w warunkach współczesnych fakt pojawienia się czy powrotu wojny totalnej ma bardzo poważne znaczenie polityczne. Przeczy mianowicie podstawowemu założeniu, które określa

charakter relacji między militarnymi i cywilnymi funkcjami władzy państwowej. Otóż założenie to głosi, że zadaniem armii ma być ochrona ludności cywilnej. Tymczasem dzieje wojen naszego stulecia można by w przybliżeniu streścić jako historię wzrastającej niezdolności wojska do wypełnienia tej podstawowej funkcji. Aż wreszcie strategia odstraszenia zupełnie odmieniła dziś powinności armii: od roli obrońcy przeszła ona do roli trzymanego w odwodzie i w gruncie rzeczy bezproduktywnego mściciela.

W bliskiej łączności z tym wypaczeniem związku między państwem a armią pozostaje, *po drugie*, fakt (rzadko dostrzegany, lecz godny uwagi), że od czasu zakończenia pierwszej wojny światowej niemal machinalnie sądzimy, iż żaden rząd, żadne państwo ani ustrój nie są wystarczająco silne, by przetrwać poniesioną w wojnie klęskę. Pogląd taki mógłby mieć oparcie w wydarzeniach XIX stulecia, kiedy to po wojnie francusko-pruskiej Drugie Cesarstwo zmieniło się w Trzecią Republikę Francuską. Z kolei rewolucja rosyjska, która wybuchła po przegranej z Japonią, z pewnością stanowiła złowieszczy sygnał tego, co czeka rządy w razie klęski militarnej. Tak czy inaczej, rewolucyjna zmiana władzy (bądź to przeprowadzona przez sam lud, jak po pierwszej wojnie światowej, bądź narzucona z zewnątrz przez zwycięskie mocarstwa żądające bezwarunkowej kapitulacji i ustanowienia trybunałów wojennych) należy dzisiaj do najbardziej pewnych następstw porażki poniesionej w wojnie – o ile, oczywiście, nie nastąpi totalne zniszczenie. W kontekście naszych rozważań nie ma znaczenia, czy taki stan rzeczy jest spowodowany zasadniczym osłabieniem ustroju jako takiego, czy utratą autorytetu istniejącej władzy, czy wreszcie tym, że żadne państwo ani żaden rząd – choćby najbardziej prawowity i cieszący się zaufaniem obywateli – nie zdołałby przeciwstawić się bezprecedensowemu terrorowi rozpętanemu przez współczesną wojnę i obejmującemu całą ludz-